

BIULETYN SPORTOWY

Dla mężczyzny mieć 60 lat to pestka. Mówimy: wiek męski, czyli że życie się właśnie zaczyna i jak to będzie fajnie, po prostu raj na ziemi. Oczywiście pełno niespodzianek, panowie szybko dodają, że w pełni zasłużonych, więc tylko żyć, nie umierać. Tymczasem różnie to bywa. Najlepszym przykładem niech będzie hokej, w którym wypada odnotować dwa wydarzenia: oficjalne i uroczyste pożegnanie Guya Lafleura oraz śmierć Pata Burnsa. Co ich łączy? Łączy ich niejako metryka urodzenia, bo pierwszy ma 59 lat i jest w znakomitej formie, a drugi przez ostatnie trzy lata walczył z rakiem płuc i 19 listopada w wieku lat 58 odszedł tam, skąd powrotu nie ma. W ciągu ostatnich lat pracował kolejno w czterech klubach: w Montrealu, Toronto, Bostonie i New Jersey, prowadzone przez niego drużyny odniosły w sumie 501 zwycięstw, do tego najważniejsze przypadło hokeistom New Jersey, którzy zawładnęli Pucharem Stanleya. W historii NHL-u jest jedynym coachem, który był trzykrotnie wybierany trenerem roku w trzech różnych klubach. Od swoich zawodników wymagał pełnego zaangażowania w grze i bezwzględного wykonywania trenerskich poleceń. O jego popularności najlepiej świadczyła obecność na pogrzebie tłumy sympatyków, w tym wielu znanych hokeistów z Kanady i Stanów.

Relacja na temat Pata nie byłaby pełna, gdybym nie wspomniał o dalszych losach jego spuścizny, już pozacmentarnych. Line Gignac, wdowa po Burnsie, zaparkowała swojego Volkswagena Touarega na parkingu w Starym Montrealu. Nazajutrz, podczas pogrzebu, złodzieje włamali się do auta, skąd wykradli kilka worów przeróżnych pamiątek po Burnsie. przeznaczonych na aukcję, w tym również biżuterię Liny, kilka kart kredytowych, fotografie rodzinne i dwie walizy wypełnione bielizną i ubraniami państwa Burns. Dochody z tej aukcji zapoczątkowanej jakiś czas temu przez Burnsa przeznaczone są na wsparcie budowy lodowiska pod nazwą Pat Burns Arena na kampusie Stanstead College.

To wszystko, co powyżej przeznaczone było człowiekowi, który ma już święty spokój i - prawdę mówiąc - nie będzie sobie tego rodzaju problemami zaprzętał głowy, ponieważ jego królestwo nie jest z tego świata. Natomiast jego rówieśnik Guy Lafleur w dalszym ciągu cieszy się uznaniem setek tysięcy miłośników hokeja, którzy gotowi są do urządzania mu przeróżnych pożegnań dając w ten sposób dowody wyjątkowej dla niego sympatii. Skąd się to bierze i dlaczego? Wydaje mi się, że hokeista montrealskich Canadiens jest dzisiaj jednym z ostatnich sportowców starej daty, którzy nie zapomnieli, co to jest prawdziwy sport. Doskonale wyszkolenie techniczne, prowadzenie krążka, szybki strzał, a przy tym wszystkim - gra fair. Bez złośliwości i fauli, bez walenia przeciwnika z całej siły na bandę lub tłuczenia go kijkiem. Lafleur grał bez kasku ochronnego i przez 20 lat nie miał żadnej kontuzji, ale trzeba przyznać, że to były inne czasy. W miarę zmieniania przepisów dopuszczano do ostrej gry, w efekcie czego dzisiaj kontuzje są na porządku dziennym.

Nie będę tutaj wyszczególniał wszystkich pucharów i wyróżnień, jakie Lafleur zebrał w czasach swojej kariery sportowej. Jedno tylko chcę przypomnieć: pięć razy zdobywał Puchar Stanleya wraz z drużyną Canadiens (w tym 4 razy z rzędu w latach 1975-1979). Nie muszę tłumaczyć czym jest to trofeum dla hokeisty.

I tyle by było na zakończenie Starego Roku. A na święta i NOWY jedenasty trzeciego tysiąclecia życzę wszystkim naszym czytelnikom najlepszego zdrowia (i sobie też).

Jerzy Duński